

Czy metody naturalnego planowania rodziny zawsze rodzą dobro?

Paweł Milcarek

Dyskusje na temat naturalnego planowania rodziny (NPR) zawsze są pełne emocji, ale też budzą zainteresowanie, ponieważ ścierają się w nich rzeczywiste zagadnienia życia moralnego. Przekonani zwolennicy NPR mówią, że jest ono czymś zasadniczo różnym od antykoncepcji, potępionej przez Kościół. Mają rację, gdyż każde użycie antykoncepcji rodzi jakieś zło. Czy to jednak znaczy, że każde używanie NPR rodzi dobro?

Nie. Chociaż antykoncepcja jest faktycznie „czymś wewnętrznym złym”, nie znaczy to automatycznie, że NPR jest czymś z zasady i zawsze dobrym. Jest neutralną techniką, która dobra lub zła staje się dopiero w zależności od tego, w czym zostanie użyta.

Rozróżnijmy zresztą warstwy. Jest NPR jako warstwa wiedzy: znajomość zasad ludzkiej płodności, wiedza o cyklicznościach w życiu kobiety. Ta wiedza jest ważna dla każdego, ale w sposób zupełnie szczególnie ważna dla dziewczyny odkrywającej cielesny czynnik swej kobiecej tożsamości.

Trochę czymś innym jest NPR jako technika oparta na tej wiedzy. Jest to pewien regulamin postępowania (np. rygor obserwacji śluzu) i wymuszona przezeń dyscyplina zachowań (np. tworzący się nawyk unikania współżycia w dni płodne) – i powiedzmy sobie jasno, że to już nie jest natura, lecz próba wprzęgnięcia natury w swoje plany. Wewnętrzna celowość natury nie jest tu negowana (jak w antykoncepcji), ale zostaje podporządkowana zmiennym celom zdefiniowanym przez człowieka („chcę dzieci” lub „nie chcę dzieci”). Dlatego w NPR mówimy raczej o „planowaniu rodziny”, a nie o świadomym rodzicielstwie (można bowiem z całą świadomością być otwartym na potomstwo bez jego planowania).

Na kanwie NPR jako techniki planowania może powstać – i powstaje – NPR-owski styl życia. I to trzecie piętro NPR zawsze

budziło we mnie najwięcej wątpliwości: zapisany gdzieś w jego wnętrzu dogmat, że człowiek staje się wolny dopiero wtedy, gdy „zaplanuje” sobie potomstwo, wydaje mi się doskonale zaadaptowanym do mentalności tego świata stanem, w którym Bóg, jak w deizmie, znika gdzieś za obłokiem „praw cyklu”, natomiast na ziemi rządzą „plany” ludzkie. Plany jakże często zdeterminowane strachem przed życiem, obawą o karierę, zazdrością o rozkosz, obcinające zbyt bezinteresowne wydatki... odsuwające to, co trudniejsze, raczej na odległy czas „po”.

Nie ma dobrej antykoncepcji – ale jej alternatywą, alternatywą normalnego życia chrześcijańskich małżonków, jest wewnętrzna zgoda na to, że każde ze zbliżeń może być początkiem nowego życia. Jest to fundamentalna reguła tego „zakonu”, jakim jest chrześcijańskie małżeństwo. Dopiero na tym tle bywa potrzebna technika NPR: najpierw, gdy ułatwia poczęcie tym, którzy mają z nim kłopot; a następnie, na samym końcu – gdy pomaga odsunąć poczęcie w wyjątkowych sytuacjach choroby lub skrajnego ubóstwa.

Myślę, że to są właśnie takie słowa, po których Apostołowie szeptali do Pana Jezusa swoje znane obawy, że w takim razie nie warto się żenić (Mt 19, 10). W imieniu małżonków powiedziałbym (choć nie do następców Apostołów): owszem, warto – ale z myślą, że nie jest to wybór łatwiejszego życia. Gdy wybierałem swoje powołanie, pewien ksiądz powiedział mi, że jeśli chce się żyć jego pełnią, bywa ono czasami trudniejsze niż celibat. Może i tak. ■